

Alina Budzińska

"PODJĄC RYZYKO"

Młody aktor krakowskiego Teatru im. Juliusza Słowackiego

- Jan Frycz stanowi nie tylko uosobienie wdzięku, przyciąga też uwagę wewnętrzną żarem, pasją zawodową - zauważalną przy każdym jego pojawieniu się na scenie. W ciągu dwu i pół lat pracy aktorskiej zagrał w kilku filmach telewizyjnych i fabularnych oraz w serialu "Zielona siłoś" /rola Motocyklisty/.

- Czego spodziewał się pan od aktorskiego zawodu w momencie podjęcia decyzji o jego wyborze?

- Zaczynamy od punktu tego, że nie wyobrażałem sobie innej profesji, zawsze chciałem zostać aktorem i konsekwentnie do tego dążyłem. A czego się spodziewałem? Może to zabrzmiało pretensjonalnie: chciałem podjąć ryzyko związane z zawodem aktorskim. A więc nie tylko bezustannie sprawdzać się zawodowo, także być stale związanym z tym wszystkim co się wokół nas dzieje, w płaszczyźnie społecznej, politycznej, ekonomicznej itd. itd. Pamiętaj o poczuciu odpowiedzialności za słowo niesione ze sceny. Inaczej nie wyobrażam sobie tej profesji. Zdawałem też sobie sprawę z ceny, jaką płaci się za to, że jest się aktorem. Towarzyszące aktorowi załamania, frustracje, a zdarza się, że i... kabotynizm.

- Kogo uważa pan za dobrego wzór aktorstwa?

- Zaskoczył mnie: uwielbiam Micka Jaggera - dużo bym dał, abym mógł powiedzieć mu to osobiście.

- Co zagrał pan na debiut?

- Położyłem rolę Edmunda w "Damskich i huzarach", a potem było jeszcze parę innych ról. Grałem w większości epizody.

- Czy dla początkującego aktora epizody nie są ważne?

- Dla mnie jest ważne to, co noszę w sobie, a co mogę realizować w każdej roli - moje widzenie świata.

- Rozmawiały przed prapremierą sztuki Karola Wojtyły "Brat naszego Boga", w reżyserii Krystyny Skuszanek, która to sztuka nie tylko ze względu na nazwisko autora ma szansę stać się wydarzeniem artystycznym. Otrzymał pan w niej poważne zadanie, główną rolę Adama Chmielowskiego - Brata Alberta.

- Nie się zdaje, że ten spektakl już trwa... Zaczął się dla mnie w momencie podjęcia decyzji wystawienia tego dramatu, którą uważam za słuszną i potrzebną. W dzisiejszych przedyskutowanych czasach, widz coraz bardziej niechętniej odwiedza teatr. Ściągnąć go może jedynie wydarzenie artystyczne, zawierające iskrę inności, nowości, eksperymentu czy też temat dotyczący naszych czasów, lub choćby nazwisko autora. Wracając do roli Adama Chmielowskiego, im bliżej premiery, tym mocniej cenię jasność przekładu i mądrość dzieła zawartą w mowie autora i jego teatralnym obrazie. Jestem tą rolą przejęty.

- Czy jest dla pana teatr?

- Jedyne możliwością czucia się potrzebnym.

- Ile wynosi pana pensja teatralna?

- Trzy tysiące trzysta złotych.

- Wystarcza na życie?

- Poczłowałem już udziału w paru przedsięwzięciach telewizyjnych i filmowych i zawsze największe wrażenie robił na mnie niedostatek finansowy owych imprez. Czuło się podstawowy brak funduszy w tej biednej niedoinwestowanej kulturze.

- Na co pan czeka?

- Staram się nie nie nie czekać. Żyje tym, co robię teraz, dzisiaj. Czasem wspomina z melancholią swoją przygodę w wielkim przedsięwzięciu filmowym Andrzeja Żuławskiego "Na srebrnym globie". Szkoda, że jest to dzieło niedokończzone...

- Wieś pan propozycje z krakowskiej telewizji czy radia?

- Sprowadyczne. Ale nie odczuwam tego boleśnie. I dzięki Bogu. Uważam, że póki nie zależy mi na czymś za wszelką cenę, dopóty nie jest ze mną źle.